



Maria Rodziewiczówna

KWIAT
LOTOSU

BUKOWY LAS

I



Szpakowaty, ale jeszcze krzepki obywatel piął się mozolnie na strome, ciasne i od powstania swego niemyte schody ogromnej kamienicy. Na każdym przęśle przystawał, ocierał pot z czoła, sięgał do kieszeni obszernego płóciennego kitla, wydobywał odwieczne, w róg oprawne okulary i nałożywszy je na nos, odczytywał na drzwiach nazwiska mieszkańców.

– Szelmowskie schody! – mruczał pod wąsem. – Przecie to nie tutaj jeszcze... Wybudują, panie, chałupę jak wieżę Babel i końca nie ma, i rozumu zgoła. I to się nazywa piękność i wielkie miasto. Uf!

Po tej skardze rzuconej niebu i ścianom chował okulary, odsapywał i szedł dalej, monologując z cicha.

– A pisał mi błazen, że bardzo wygodnie i porządnie mieszka! To, panie, porządek i wygoda! Przeszedłem osiem kawałków tej drabiny, a jeśli nie dojdę do obłoków, to już chyba, panie, Bóg nie łaskaw. Ha, ale to upał! Mówią, panie, że na północy biegun, czyli to globus z lodu! Jadę, jadę, no i, panie, dojechałem do takiej spieki, jaka u nas i w kanikułę nie bywała! Ładny, panie, biegun, co! Kłamię, panie, te książki, z roku na rok gorzej kłamię i nie wiem, na czym się to skończy! Uf!

Stanął. Znowu troje drzwi miał przed sobą; brudy i upał rosły w stosunku bliskości obłoków. Jegomość dobył znowu zbawczych szkieł i jął sylabizować pierwsze nazwisko z brzegu.

– Stefan Grzybowski – wyczytał. – A to, panie, postny człowiek! Na suche dni niezawodnie święci swego patrona.

Posunął się w rotacyjnym ruchu na prawo.

– Adam Żabuski – stało na blasze. – Nie znam, panie, nie z naszych stron. – Wiktoria Brzeza! – biło z daleka w oczy na trzecich i ostatnich drzwiach, a pod spodem, białą kredą na brudnych deskach, ktoś śmiało i wyraźnie rzucił rysunek legendarnego pelikana rozszarpującego dziobem własne piersi dla nakarmienia zgłodniałych dzieci, jeszcze zaś niżej stał sześciowersz:

*Pani Brzezowa
Sądowa wdowa,
Panna Brzezina
Cudna dziewczyna,
Kto mi nie wierzy,
Niech w dzwon uderzy.*

Stary odczytał wszystko, palcem dotknął pelikana i, widocznie niedowiarek, wedle rady rymowanej zadzwonił.

– A to, panie, huncwot jakiś, tak sprofanować białogłowę – burczał, chowając okulary. – No, alem trafił! Błazen się schował jak lis w norę; wykopałem. Ho, ho, dowiem się o paniczu całej prawdy!

Na dźwięk dzwonka wewnątrz powstał piekielny hałas. Prym trzymał piskliwy głosik pudła czy pinczera, wtórował dyszkant kobiecy i łomot zamykanych drzwi i odsuwanych sprzętów. Wszystko zbliżyło się ku niemu.

– A to, panie, dmuchnąłem w ul! – zauważył.

– Leonka, Leonka! Ktoś dzwoni! – wołał głos kobiecy przeciągłym białoruskim akcentem. – Odeprzyjże drzwi, bo ja właśnie szołtonosami zajęta! Żaczek, będziesz ty cicho!

Ale Żaczek wcale być cicho nie myślał, tylko wrzeszczał wniebogłose; natomiast z głębi rozległy się kroki i u drzwi ucichły.

– Leonka, Leonka! Czyżeż ty nie słyszysz! Odeprzyj drzwi; to może który z panów na obiad!

– A czymże utworzę? – odparł mrukliwie drugi głos.

– Jakże to czym? Kluczem to przecie!

– Kiedyż klucza wcale nie ma.

– Jezusie! Mario! Jak to klucza nie ma! A gdzieżeż by się on podział! Poszukajże, dziecko, bo ja właśnie szołtonosy na wodę puszczam! Żaczek, poczekaj, dam ja tobie, dam!

– Gdzież mam szukać, kiedy go nie ma! – odparł obojętnie drugi głos. – Pewnie pan Feliks wziął go z sobą!

– Co ty gadasz! Nie może być! Nic beze mnie się nie obejdzie! A któż to dzwoni?

– Nie mogę widzieć przez deski!

– To spytajże się! Albo nie, poczekaj! Już sama idę. Ach, Boże, gdzież to mój czepek! Leonka, nie widziałaś czepek? Tylko co leżał ot tu na krześle i już go nie ma. Okropność, jak w tym domu wszystko ginie! Nigdy w innych mieszkaniach tego nie bywało; takie widno założenie feralne, Jezus!!!

Pauza, i wnet podniósł się żalony lament Żaczka, targanego snadź za uszy i okrzyki:

– Ot tobie mój czepek! Ot tobie rozpusta! Ot tobie psie figle! Masz, masz, masz, masz!

Po doraźnym wymierzeniu sprawiedliwości jejmość znalazła się u drzwi i rezolutnie spytała:

– A kto tam?

– Ja, moja dobrodziko! Z interesikiem, panie, tego. Ale, słyszę, klucz zdysparował, to co będzie?

– Ach, Boże, to pewnie pan do moich panów! Są, są, ale wyszli i widno klucz zabrali! Ach, Boże, co to będzie, co to będzie? Leonka, ten pan do naszych panów, a tu klucz przepadł! Ach, ja nieszczęśliwa! Tyle razy prosiłam pana Rafała, żeby mi tego nie spletał; no i trzebaż wypadku, że dzisiaj właśnie przestrogi zapomniał.

– Dziś właśnie o niej pamiętał – poprawił drugi głos.

– Ej, co ty gadasz? Taki polityczny* młody człowiek. Z przypadku, mówię ci! Pan łaskawy z daleka?

– Moja dobrodziko, choćby z ulicy, to do pani daleko. Do chłopca mego przyjechałem zobaczyć go i zabrać z sobą, bo i ferie teraz! Adres pani mi przysłał. Feluś mu na imię! A może zmyślił, niecnota!

– Jest, jest pan Feliks! Bardzo stateczny kawaler. To pan jego rodzic? Bardzo mi przyjemnie! Łaskawy pan raczy spocząć, ja zaraz podam krzeselko!

– A którądyż, moja dobrodziko?

– Ach, prawda! Nie ma klucza. Co to za dom! Rąk i głowy nie starczy! A to niespodzianka dopiero! Wiesz, Leonka, to ojciec pana Feliksa! Mówię panu, syn pański to taki cichy, w sobie zamknięty, że o swoim ojcu nigdy nie wspomniał. Za sierotę go miałam i często patrząc nań aż na płacz mi się zbierało, takie to smutne i opuszczone.

– Osobliwość! – odparł tonem podziwu obywatel. – Błażen nie ma czego się smucić ani ukrywać! Ojca ma, siostrę ma, dom chwala Bogu ma, a za te pieniądze, co mnie tu kosztuje, wszystkie uciechy kupić może. No, no, i mówi pani, że cichy!

* Polityczny – tu: dobrze wychowany, roztropny, układny.

– Jak panienka. Ani mru-mru! Głosu jego nie słycać!
A hardy i do nauk zawzięty, że strach. A ciężkaż to nauka,
panie mój, ciężka! Ja, co się strasznie widoku umarłych boję,
pojąć nie mogę, jak on może trupy krajać!

– Trupy krajać! Mój Feliś! – wrzasnął obywatel.

– A kraje, panie mój, kraje biedaczek! Taka to już bezecna
nauka ta medycyna!

– Jaka medycyna! Czy dobrodziejce rozum się pomieszał, czy
mnie, ale nie inaczej, komuś z dwojga! Jaka medycyna! Feliś na
medycynę chodzi, trupy kraje! Matko Boska! A toż go na prawo
posyłałem, jurysty chciałem, cóż znowu z tą medycyną?

– Medyk on, panie mój, i pociechę z niego mieć pan bę-
dzie. Chociaż prawnika i ja bym wolała, ale mi Bóg syna
nie dał, tylko córkę. A syn prawnik byłby się zdał, oj zdał!
Bo trzeba panu wiedzieć, że my z magnatów jesteśmy, dobra
są, Ochajny, może pan słyszał, na Polesiu, mil siedem od
Jaremnego, tylko że nieboszczka moja matka z Burhaków
była *secundo voto** za Zudrą, i choć *sterilis* zesła z tego świa-
ta... naprawdę *sterilis*, są dokumenta... jednakowoż Zudro-
wie łapes-capes skrzywdzili nas i zabrali de hajda majątki!
Ale to do czasu, panie mój, do czasu! Dwunasty rok pilnuję
interesu, przeszedł wszystkie instancje; czasem oni wygrali
przekupstwem, ale to nic! Od trzech lat senat go rozpatruje!

– Ale Feliś mój, dobrodziejko, Feliś! Odkądże on na medy-
cynę chodzi? Po co, jak? Skończenie świata!

– Zawsze chodzi, panie mój, zawsze! O! pracowity i,
myślę, zamiłowany w swym fachu! Przyznam się panu
memu, że ja z nim rzadko kiedy się spotykam, bo ten
proces, nie da pan wiary, ile to czasu zajmuje, a on, aby
z kursów, szmyk do swego pokoju i tam siedzi. Raz słyszę,

* *secundo voto* (łac.) – z drugiego małżeństwa; tu w potocznym zna-
czeniu: po raz drugi wyszła za...

dzwoni, a że się spóźnił na obiad, biegnę, panie mój, otworzyć. Kiedy spojrzę, coś trzyma w ręku! „Co to?” – pytam. „Oczy!” – odpowiada i pokazuje bliżej ze śmiechem. Jezusie, Mario! Wie pan, co to było? Naprawdę oczy, oczy ludzkie, żywiuteńkie, z trupa.

– Chryste Panie! – wykrzyknął obywatel.

– Od tej pory, panie mój, już nigdy nie otwieram. Lenonkę posyłam, bo trzeba panu wiedzieć, że ta dziewczyna za chłopca stanie, taki u niej rezon, takie postanowienie. Talenta ma: rozwijam je, rozwijam; a przy tym pisze prośby i każdy dokument odczyta! O, panie mój, nawet pan Feliś z nią czasem rozmawia, bo rozumek jest i mówią, że do mnie podobna.

– Proszę mamy! – rozległo się w głębi. – Żaczek zjadł szołtonosy.

– Jezusie, Mario! Jak? Co?

– Szołtonosy z rondelka!

– No, co teraz, to koniec z nim! Powieszę, własnymi rękoma powieszę! Ach, Boże! Ale to takie gorące, jeszcze mu zaszkodzi! Ciu, ciu, ciu, Żaczek!

– Ładniem trafił! – zaburczał obywatel. – Baba za urlopem od czubków, Feliś trupy kraje, Zudry nie Zudry! Gwałt. Babińska republika, słowo, panie, daję. A okaże się wreszcie, zem nie trafił. – Głośniej dodał: – Moja dobrodziko, za pozwoleniem!

– Co pan każe? – ozwał się głos panny zagłuszony rozdzierającym uszy wyciem karanego Żaczka.

– Powiedzcie mi dokumentnie: czy mieszka u was Feliks Rahoza?

– Mieszka, panie.

– A cóż on porabia?

– Maluje, panie, przeważnie!

– Ma-lu-je! Chryste Panie! A toż co nowego? Jak to ma-luje? Co on maluje?

– Przeważnie karykatury, z których jedną ma pan przed sobą na drzwiach.

– To już nie kraje trupów? Coraz lepiej! Któż trupy kraje w takim razie?

– Mamy i medyka.

– Aha! To cóż, u licha, mówiła mi matka pani? Tu trzeba głowę stracić!

– Matka się pomyliła. Syn pański przez żart zamienił się ze współlokatorem, medykiem, na imię. Tamten się Rafał nazywa!

– To Feliś mój na serio maluje! Cóż to za nowa breweria?

Leonka, Leonka! – ozwał się jak piszczalka głos pani Brzezowej. – Gdzie to kluczyki? Gdzieś je widziałam! A gałgan, rozpusznik, nicpoń! Zjadł co do jednego, takie gorące i nic mu się nie stało! Tymczasem szoltonosów nie będzie i sama nie wiem, co dać na trzecie danie! Jak myślisz? Może naleśników tak naprędce! Ale kiedy znowu tych kluczyków nie ma, a mąka i jaja w kantorku! Boże, Boże, co to za dom! Niczego się nie doszukać!

– Aj, dobrodziko, dobrodziko! – zawołał szlachcic zza drzwi. – A godziłoż się to takiego mi pietra napędzić tą medycyną! Toż to słyszę oni się poprzezywali, drapichrusty! Ale znowu skądże Feliś malować się nauczył! Awantury arabskie!

– Ach, Boże! Toż prawda! Moja biedna głowa! Poprzezywali się! Prawda, prawda! To pan dobrodziej ojciec pana Rafała? Bardzo mnie miło...

– Feliksa jestem ojciec, Feliksa Rahozy! – bronił się rozpaczliwie obywatel.

– Ach, tak, przepraszam! Tak zawsze na tym mieszkaniu język mi się miesza! Bardzo polityczny pański syn,

a wesół, a przylepka, a jakie do panien ma szczęście! Skarb takie dziecko!

– A cóż on robi? Czego się uczy?

– Ach, panie mój, czego on nie robi! To śpiewa, to gra, a jakie kalikatury maluje! A zawsze czas znajdzie na wesołość; ot i tego podłego psa różnych sztuk nauczył, i Leonkę rozerwie od zbytku nauki; Ach, panie mój, co to za kochany człowiek! Pocięcha w smutku, pomoc w potrzebie!

– Co ja słyszę, co ja słyszę! A uczyć się, uczyć, to on, oprócz błazeństw i malowania, nic więcej nie robi?

– Uczy się, panie mój, uczy! Pewnie, pewnie, bo jakżeby to wszystko umiał bez nauki! Taki śliczny, a wesół że, wesół! A do przezwisk to już jedyny! Siebie poprzezywali, a i ten pies gałgan Żuczek się wabił, a teraz Żaczek i Żaczek! Sama nie wiem, jak to przyszło, że i ja go tak nazywam! Niby, widzi pan, pan Rafał woła Żaczek, a pan Feliks Żuczek. Jezus! A to mi się język splątał, pan Feliks Żaczek... pfe! już i sama nie wiem, ale pan łaskawy rozumie! Ot i szoltonosy dziś zjadł i tak co dzień, niech ręka boska broni, co to za dom, co to za założenie jego feralne! Od kwartału muszę się wyprowadzić, bo zwariować trzeba! A może i wcale dalej się wyniesiemy, bo widzi pan, lada dzień przyjdzie rezolucja senatu! Siedzi tu wprawdzie średni Zudra, stryjeczny mąża mojej babki, wie pan, syn chorążego, żonaty też z Burhakówną, ale z innej rodziny... otóż... co ja miałam mówić... Aha! Siedzi Zudra, Ignacy mu, i forsuje, forsuje, i ja nic, grosika nie dają, ale wspomni pan moje słowo: wygram, bo nie zasypiam sprawy! A trzeba panu wiedzieć...

– Proszę mamy, może pan Rafał zostawił swój klucz w pokoju? – ozwał się z głębi głos córki.

– Ot gadanie! Tylko co dowodziłaś, że właśnie pan Rafał zabrał go przez psotę. Ale, prawda, prawda! Zawsze się myślę!

Może być, może! Pan daruje, zaraz służę! Pewnie jest zapasowy klucz. Że też to mi z początku nie przyszło do głowy.

Uciszyło się na sekundę i wnet rozległo się z triumfem:

– Jest, jest! Ratunek w biedzie ten pan Feliks. Z systematem człowiek, z wielkim systematem. Proszę, proszę pana mojego w ubogie progi! Byłam pewna, że jest drugi klucz, ale przez te szłołtonosy reszta pamięci mi uleciała.

Drzwi się rozwarły. Szlachcic wszedł w sienć długą jak korytarz, skąd na obie strony rozchodziło się czworo drzwi, wszystkie rozwarłe gościnnie. Naprzeciw niego stała kobieta sucha i drobna, w staroświeckiej mantylce*, w czepku krzywo osadzonym na ruchliwej głowie. Żółta, pomarszczona, ale zdrowa widocznie i nad wiek żywa. Dygnęła przed gościem stylem zeszlowiecznym i trzepała jak tartak:

– Wiktoria Brzezowa, do usług pana łaskawego! Z męża tak, a z domu Żółbikówna, wdowa teraz i w lada jakim bycie, ale to minie, minie! Da Bóg, przyjmę inaczej pana dobrodzieja, skoro tylko ten proces...

– Powodzenia, moja dobrodziko, powodzenia! Właściwie rzecz biorąc, nie bardzo ja tam w prawo wierzę, ale bywają wyjątki. Stefan Rahoza, do usług. Słyszę, u pani jest jeden medyk i jeden malarz na stacji, ale ja takiego syna nie mam. Mój Feliś prawnik; pewnie jest trzeci u pani?

– Trzeci był, panie, był, taki blondynek, ale wyniósł się już od miesiąca. Suchotnik, biedaczek, budowniczy zdaje mi się.

– Prawnik, panie, prawnik. Blondyn, zdrow!

– Jest u mnie prawnik; zdaje się, że wspominał raz kiedyś, iż na ten wydział myśli chodzić. Nie pamiętasz, Leonka?

– Pan Feliks Rahoza mieszka u nas! – odparł zza drzwi dalszych niecierpliwym głosem.

* Mantyla – lekki szal z czarnej lub białej koronki, okrywający głowę i ramiona kobiet.

– Właśnie, właśnie.
– To gdzież on teraz, u diaska!
– Gdzie pan Feliks, Leonka?
– Wyszedł do państwa Satinów. Przed wieczorem nie wróci.

– Masz tobie! A gdzież ci państwo Satin? Co to za jedni?
– Nie wiem, panie mój, nie wiem! Proszę pana do bawialni, proszę; obiadek za chwilę podam. Leonka, zabawże pana tymczasem! Satin, Satin, no proszę! Coś mi się ciągle zdaje, że już kiedyś słyszałam to nazwisko. Nie pamiętasz, Leonka?

Szlachcic znalazł się w saloniku. Okna tej bawialni wychodziły na podwórze, ciasne jak studnia, rozpalone jak krater wulkanu. Atmosfera była przesiąknięta wyziewami kuchenki, upał panował tropikalny. W upale tym nędznie wegetował u okna mirt suchotniczy i wazon z merum-ve-rum. Wegetowała też w tym zaduchu i gorącu dziewczynka śniada i mizerna, pochylona nad stołem zarzuconym szkolnymi książkami, zatopiona całą uwagą w ciężkim arytmetycznym zadaniu. Sztuka to była uczyć się w takiej spiekocie i przy wtórze matczynej gawędy; uczyła się jednak pilnie, nie podnosząc oczu z zeszytu.

Gdy gość wszedł i matka ją wezwała do bawienia, rzuciła pióro niecierpliwie i wstała z błyskiem niechęci w czarnych jak węgiel, posępnych źrenicach. Ukłoniła się niezgrabnie i gryząc blade wargi, żuła niezadowolenie. Młode to jeszcze bardzo było stworzenie, wysmukłe i mdłe jak piwnicza roślina, bardzo anemiczne i bardzo brzydkie.

– O Satinach słyszymy bardzo często od pana Feliksa – pomogła matczynej tępej pamięci.

– Ach, prawda! Że też mi to wcześniej nie przyszło na myśl! Pan Feliks tam bywa, często bywa. Bardzo musi być porządny dom, bo bukiety nosi i cukry, i różne słodycze.

– To taak? – rzekł przeciągle stary Rahoza. – To taak! To tak tutaj prawo, pani, wertują, ha!

Smutne te uwagi przerwał Żuczek, wpadając do salonu w radosnych podskokach. Był to pudelek, tym różny od psiego rodzaju, że miał ogon pomalowany na żółto, korpus na zielono, łapy na błękitno, a pyszczek purpurowy. Tęczowy ten egzemplarz niósł w zębach zaczętą pończochę, za którą ciągnęła się nić i kłębek.

– Jezul! Moja pończocha! – wrzasnęła pawim głosem pani Brzezowa. – Wczoraj zarobiłam piętę, miałam spuszczać! Ach, ten pies utrapiony! No, poczekaj, niech no cię dostanę w swoje ręce!

Ale Żuczek nie czekał skutecznienia groźby i zrejterował pośpiesznie, trzęsąc pończochę, z której sypały się druty. Za nim podskakiwał kłębek i rzuciła się w pogoń pani Brzezowa.

– A gdzież mieszkają ci Satinowie, moja panienko? – zagadnęła zafrasowany obywatel.

– Nie wiem, panie, ale za chwilę wróci pan Rafał na obiad, ten pana poinformuje.

– I pani powiada, że mój Feliś tam słodycze nosi? Cóż to, amory, panie tego?

– Nie wiem, panie. Pana Feliksa rzadko widzujemy – odparła dziewczyna wymijająco.

– Jak to? Wszak tu mieszka?

– Mieszka niby, czasem obiady i niekiedy nawet na noc wraca.

– A zwykle? Przecież się uczy czegośkolwiek?

– Nie wiem, panie. Ja sama do gimnazjum chodzę, potem lekcje daję, a wieczorem mam w domu robotę. Nie mam czasu ani obowiązku wglądać w czynności naszych lokatorów.

– No, no, no! – stękał stary Rahoza. – Malatury*, figle i Satinowie! Otóż i pociecha! A gdzież jego stacja, panie tego? Może już i odzienie pozastawiał?

– Pokój panów obok. Służę panu – odparła panna Leonia widocznie rada z okazji pozbycia się gościa; poszła przodem i wprowadziła starego do stacyjki dość obszernej i czysto wymiecionej. W oknie była zielona roleta, sprzęty lepsze, posłanie czyste i białe. Za to na ścianach nie było nigdzie czystego miejsca. Całe od podłogi do sufitu były zapelnione szczerlnie rysunkami czarną kredą i węglem. Czego tam nie było? Postacie żywcem wzięte z humorystycznych typów miejskich, apokaliptyczne zwierzęta, kłowni, akrobaci, perspektywy świątyń i pałaców, muskulatury, czarci i anioły, wszystko zagmatwane, rzucone jedno na drugie w chwilowej fantazji. Nad jednym posłaniem był portret szpetnej Finki czy Czuchonki, nad drugim ładna kobietka w efektownym negliżu**.

– A toż to za bazgroty! – wykrzyknął Rahoza, wytrzeszczając oczy.

– To robota pańskiego syna – odparła dziewczynka.

Mimo woli stary się roześmiał na widok cudaczných twarzy i kostiumów, wydobył nawet w pomoc okulary.

– Mieszkanka pan mój ogląda! – zapiszczała pani Brzezowa z korytarza. – Aha i landszafty pana Feliksa; jest talent, panie mój, jest talent. Co miesiąc bielę ściany, a byle dwa wieczory posiedział, znowu pełno! Taka to u niego w rękę pracowitość. I mnie umieścił, uważa pan, z Żuczkiem, i Leonka jest, i coś tam napisanego pod nią. Ach, Boże mój, oczy nie służą! Leonka, Leonka, co tam stoi pod twoim konterfektem***?

* Malatura – malowidło; farby użyte do malowania.

** Negliż – poranny lub nocny strój domowy.

*** Konterfekt – portret.

– Obejrzała się, córka znikła, ale zarazem spostrzegła na krześle futerał od okularów i chwyciła go skwapliwie.

– No proszę! Pierwszy raz jest coś w porę pod ręką w tym domu. Proszę pana mojego, już co okulary, to najgorzej giną. Zaraz, zaraz przeczytam. Ach, ach, toż pusty futerał, daremna pociecha; ale gdzież mogą być okulary? Osobliwe, osobliwe!

– A toż mój futerał, dobroduszko, a okulary mam na nosie; proszę się nie inkomodować* – odparł szlachcic, nie dosłyszawszy początku.

– Ma pan dobrodziej moje okulary! – uradowała się pani Brzezowa. – To dobrze, to dobrze, bo ja noszę numer czwarty. Czy pasują? Ach, panie, to te papierki tak mi popsuły oczy! Dawniej widziałam przez ścianę, a teraz literki jak maczek; a dopiero jak mi plenipotent co napisze, to ani w ząb. Ślepię, panie, mozołę się, ale to nic, bo wiem, że finalnie Zudrów pognębię; a uważam, że i oni coś zaczynają tracić nadzieję. Mówił mi to jeden sekretarz, co mi doradza i trudniejsze papiery pisze. Bo trzeba panu wiedzieć, że i prośby na cesarskie imię zanosiałam. Oho, poznają Zudrowie, co umiem! Oho! Ot i dzwonek. Pewnie pan Feliks.

Rzuciła się do sieni, nie przestając paplać; ruszył za nią stary, niecierpliwy widoku syna.

– Czy to panowie? – wołała gospodyni. – A dobrze, dobrze, tylko po co pan Rafał klucz zabrał? Czy to ładnie? A tyle razy prosiłam! A tu właśnie do pana gość przyszedł i tak go przyjął niepolitycznie, a Żuczek szoltonosy zjadł! A gość rzadki; pan się takiej radości nie spodziewał! Ho, ho! Niech pan tatusia uściska i za klucz przeprosi!

* Inkomodować się – trudzić się.

Z tymi słowy otworzyła szeroko drzwi. Wysoki, smukły młodzieniec przestąpił próg, ale zamiast wybuchu radości, rzekł spokojnie:

– Ojciec mój od lat dziesięciu nie żyje, a klucza nie brałem. Gdym wychodził, wracała panna Leonia i zamknęła za mną drzwi.

– Ach, Boże, to prawda! Co ja gadam? O panu Feliksie myślę. To umarł ojciec pański, wieczny mu spokój! Przepraszam, przepraszam! Ale pan w czas wrócił, obiad gotowy; będą pierożki, barszczyk i miały być szoltonosy, kiedy tymczasem...

Młody człowiek nie słuchał wyliczania. Skłonił się nieznacznie i zwrócił do swej izdebki, gdy mu stary Rahoza drzwi zastąpił.

– Za pozwoleniem pana akademika! Jestem Stefan Rahoza, syna szukam. Czy to prawda, że on bawi u państwa Satinów?

– A skądże ja mogę o tym wiedzieć? – odparł zagadnięty z odrobiną niecierpliwości w głosie.

Wynurzył się teraz z mrocznych sieni i, oświetlony z okna pokoju, ukazał się oczom szlachcica w całej okazałości. A okazały był w całym tego słowa znaczeniu. Wzrostem wybuchały, smukły i zgrabny, łączył w swej postaci cały wdzięk Ganimeda*, z muskulaturą Samsona**. Na hardym karku osadzona głowa łączyła też w sobie harmonię cienkich wyrzeźbionych rysów i siłę męskiego wyrazu. Wysokie kanciaste czoło osłaniała gęstwina ciemnych, lekko kędzierzawych włosów, spod silnych brwi patrzyły oczy

* Ganimed – syn Trosa, króla Troi, słynny z urody młodzieniec, porwany na Olimp przez zakochanego w nim Zeusa (w postaci orła), aby służył w czasie uczt.

** Samson (dosł. Słoneczny) – sędzia i bohater izraelski odznaczający się nadludzką siłą, narodzony w okresie czterdziestu lat zaboru kraju przez Filistynów.

ciemnoszafirowe, z których by każda dziewczyna mogła być dumną, a ślicznie zarysowane usta miały świeżość rzadką i barwę jagody dojrzalej.

Stary Rahoza utkwiał w nim oczy, które rozszerzały się bezmiernym zdumieniem, otworzył usta i machinalnie podniósł rękę do czoła, jakby przeżegnać się chciał.

– Panie, panie! – zawołał, chwytając studenta za rękaw. – Kto pan taki?

Młodzieniec z wysokości swego wzrostu zmierzył natręta ostrym wzrokiem.

– Rafał Radwan! – odparł lakonicznie, starając się przejść do swej stancji.

Ale Rahoza trzymał go krzepko za rękaw i nie ustępował.

– A któż pana rodził, panie?

– Ano, matka i wypadek! – rzucił student z szyderskim grymasem, który jego piękną twarz demonicznie wykrzywił.

– A matka jak się zwała?

– Nie wiem, nie pamiętam jej wcale.

– Gdzie to było, panie? Jak się zwał ojciec pana? – badał gorączkowo stary.

– Noszę jego nazwisko przecie. Karol Radwan zwał się i był mędrzem!

Przez oczy mówiącego przeszedł blask zapалу i dumy na te słowa wyrzeczone z naciskiem.

– Czy ojciec pański studiował w Moskwie?

– Studiował czas jakiś, ale w Niemczech nauki kończył i osiadł w Monachium. Potęgą naukową był i na całą Europę sławą medyczną! Przed dziesięciu laty zmarł.

– A matka, a matka? – pytał Rahoza.

– Matki nie znałem, nie wiem jej imienia.

– Nieboraczka musiała zasnąć w Bogu młodo! – wtrąciła pani Brzezowa, która słuchała ciekawie opowieści, rada,

że przecie dowiedziała się czegokolwiek o swym lokatorze. – Radwan, znajome mi nazwisko z Białorusi; nawet czy nie okaże się i powinowactwo między nami, panie Rafale? Podśędek* Urban Brzeza, cioteczny mój dziad, miał synowicę za Radwanem. Nawet i to pamiętam, że po tym ciotecznym należało się nam coś w sukcesji. Dochodzić chciałam od jego zięciów, bo trzy córki tylko zostawił i z tych jedna do klasztoru wstąpiła, ale dokumentu jednego brakło i tak zostało.

Tej sądowo-genealogicznej dysertacji nikt nie słuchał; student nareszcie utorował sobie wstęp do pokoju i przerzucał książki na stoliku, a Rahoza coś kombinował, nie spuszczając z niego oka.

– Rafaela zwała się pańska matka? – zaczął zmienionym głosem. – Nieprawdaż, panie?

– Być może. Dała mi zapewne w spadku imię – odparł Radwan, nie przerywając swego zajęcia.

– Co tam imię! Wszystko panu dała! Swoje oczy, swoje rysy, swój głos nawet! Takie podobieństwo! Takie podobieństwo! Jakbym ją żywą widział, a przecież to lat trzydzieści, jakeśmy się rozstali! Więc to ojciec pański, Karol Radwan, ha, ha, on ją posiadał, on? Pan powiada, sławny był; zapewne, kobiety lubią sławę, blask, ha, ha!

Mówił urywkowo, do swych myśli i wspomnień raczej niż do młodego, który na ostatnią uwagę podniósł oczy.

– Sława a blask, nie jedno. Na blask biorą się ćmy, przed sławą mądrości korzy się każdy! – rzekł.

Ale Rahoza za swą myślą szedł i nie dosłyszawszy przerwy, mówił dalej:

– Czy przynajmniej szczęśliwa była? Czy bez zawodów i trosk było jej życie? Warta była doli dobrej, o warta!

* Podśędek – urzędnik w sądzie ziemskim; zastępca sędziego.

– Pan znał moją matkę? – zagadnął Rafał znudzony gawędą i nieproszonym gościem.

– Pannę Rafaelę Wilbik? Znała ją cała Moskwa! Córka urzędnika! Ilu naszych było w uniwersytecie, wszyscy w ich domu bywali! Ha, ha! stare dzieje, panie! Prędzej bym się nagłej śmierci spodziewał niż tego, że tu, po latach trzydziestu, spotkam jej syna i że on mi obcym będzie! Dawno pan tutaj?

– Od trzech lat.

– Krewnych pan ma?

– Nikogo. Po śmierci ojca zabrał mię przyjaciel jego z Monachium do Rygi, doktorem był. Gdy umarł, tu się przenieśliem.

– Więc pan nikogo swego nie ma?

– Mam samego siebie, to mi wystarcza.

– Niechże mię pan uważa za swego, panie Rafale. Bo mi pan jak dziecko rodzone będzie drogi!

Stary wyciągnął dłoń szeroko rozwartą ku niemu, ale źle trafił ze swą serdeczną ofiarą. Piękna twarz młodzieńca pozostała nieporuszoną; skłonił się w milczeniu i końce palców podał do uścisku.

– Obiadek czeka na moich panów! – zapiszczała pani Brzezowa, ukazując się na progu.

– Proszę, proszę bardzo i naprzód przepraszam za różne kuchenne niedostatki, ale te kucharki tutejsze to szczególny naród! Ani huzarskiej pieczeni, ani flaków, ani ludzkiej leguminy nie potrafią. Ot, sama latam, ale czasu skąpo, bo tej pisaniny a bieganiny to huk, a tymczasem w tym domu to z niczym się połąpać nie można! Proszę, proszę!

– Dziękuję, dziękuję! – bronił się Rahoza. – Ja mojej dobrodziki dłużej inkomodować nie będę! Feliś, myślę, gdzieś się zabałamucił, więc tylko o adresik owych Satinów

poproszę i błazna wykurzę rychło. A któż to są owi państwo?
– spytał Rafała.

– Urzędnicy z trzema córkami. Z najmłodszą pan Feliks zenić się zamyśla – odparł student z drwiącym półuśmiechem. – Nadzieja się zowie – dodał.

– To, to to! Ładna, panie, nadzieja! No, ale i mnie może pozwolą słówko w tej materii rzec! Płonna to nadzieja, panie, płonna! Okaze się!

– Ej, bo i pewnie! – potakiwała pani Brzezowa. – Ma pan mój całkowitą rację. Coś ktoś tych Satinów ze złej strony przedstawiał. Popleczniki Zudrów pewnie. Bez koligacji ludzie, kondycji* nieosobliwej; dobrze pan dobrodziej mówi, dobrze!

– Gdzież to ich *locum standi*** , kochany panie Rafale? – zagadnął Rahoza, wkładając pośpiesznie płaszcz. – Tylko mi pan napisz, bo zapomnę, i dużymi literami na stare oczy! Za obiadek dziękuję pani dobrodzie; drugim razem skorzystam, teraz mi do chłopca pilno, a i tak zamarudziłem. Rączki całuję, przepraszam za mitręgę; z Felisem przyjdziemy. Do widzenia, panie Rafale!

Zamieniono tysiąc ukłonów i wreszcie się za gościem drzwi zamknęły, przy wtórze pożegnań i szczekaniu Żuczka. Pani Brzezowa westchnęła.

– Ach, jakiż polityczny człowiek! Jaka rozmowa z nim pouczająca! Jak to zaraz poznać człowieka z głową! Ho, ho! Nawet zdaje mi się, że i tabakę zażywa! Panie Rafale, proszę do stołu.

Po chwili w małej jadalni siedzieli we troje nad owym tylekroć wspomnianym barszczykiem i pierożkami. Student i Leonka jedli prędko, w milczeniu, gospodyni paplała za troje.

* Tu: stanowisko społeczne, warunki bytu.

** *locum standi* (łac.) – miejsce stałego zamieszkania

Pierwszy wstał Rafał i mruknąwszy coś w kształcie podziękowania, wyszedł do siebie; za nim ruszyła Leonka do kuchenki i założywszy gruby fartuch, zaczęła sprzątać i pomywać naczynia wespół z kucharką; pani Brzezowa zaś zamknęła się w swoim pokoju nad stosem sądowej bibuły. Przez chwilę w hałaśliwym tym domu zapanowała wyjątkowa cisza, bo i Żuczek, wylizawszy talerze, usnął pod piecem, i panią Brzezową pochłonęły dokumenty.

Leonka sprzątała szczątki obiadu, zamiotła jadalnię, wytarła skrzętnie kurze i z westchnieniem ulgi wróciła do saloniku, gdzie leżały jej książki, a na papierze na pół skończone czerniało trudne matematyczne zadanie. Obok, w izdebce lokatorów, Rafał się krzątał, coś gwizdząc przez zęby.

Zanim się wzięła do roboty, słuchała chwilę i potrząsnęła głową.

– Złości się – mruknęła.

Wtem gwizdanie ustało. Student izdebkę zamknął i zajrzał do salonu.

– Czy pani dziś nie wychodzi? – spytał.

– Nie. Dzisiaj nie mam korepetycji – odparła.

– Ja idę na miasto i wrócę wieczorem. Jeżeliby Lachnicki przyszedł do mnie, proszę go zatrzymać. Niech na mnie poczeka. Dobrze?

– Dobrze – rzekła, oglądając się na niego.

– Zostawić pani książkę? – zagadnął.

– Dziękuję. Nie ma czasu. Jutro czwarty egzamin.

– Farsa, te kobiece egzaminy. Niewarte zachodu – mruknął, ruszając ramionami. Klucz zgrzytnął w zamku, wyszedł.

– Leonka, Leonka! – ozwała się pani Brzezowa. – Czy to ty wyszłaś?

– Jestem – odparła córka, wstając z rezygnacją.

– Chodźże tutaj! Chodź, posłuchaj, co to za prośba, jak to napisane! Głowa, mówię, kwadratowa tego Chruścickiego! Otóż to, widzisz, trzeba przepisać tę suplikę* i dołączyć kopię z tych trzech dokumentów; uważasz, jest to wwód** i rezolucja guberskiego***, rządu co do spadku; trzecie to metryka nieboszczki twojej babki; dla zapasu niech i to będzie, zaraz, zaraz mi to skopiuj, czytelnie, ładnie jak na imieniny wiersz! Rozumiesz? Bo ja wyjść muszę do radcy i nie wiem naprawdę, kiedy wrócę. Ot, masz i pisz!

Dziewczynka bez słowa protestu i niechęci wzięła papiery, cztery wielkie arkusze zapisane od początku do końca, czysty papier i wyszła. Przybywało jej trzy godziny roboty. Pani Brzezowa zabrała resztę, odziała się w szarą mantylkę i odwieczny kapelusz i opuściła też swe penaty****. Teraz stała się tak wielka i osobliwa ciska, że nawet Żuczek się zadziwił. Obszedł, piszcząc, całe mieszkanie i przykucnął nareszcie u nóg Leonki, oglądając się na wsze strony.

Godziny biegly. Białe papier przed dziewczyną zapełniał się pismem; słońce gdzieś gasło na czystym horyzoncie, bo w pokoju robiło się coraz mroczniej; stary zegar chropowatym chodem budził martwą ciszę. Potem nad stolikiem zabłyśł słaby krąg światła z małej lampki i oświetlił pilną pracownicę. Gęstwina roztarganych hebanowych włosów pokrywała jej rozpalone czoło, oczy czarne gorzały chorobliwym podnieceniem, usta blade rozchyłał szybki oddech.

* Suplika – pokorna prośba pisemna.

** Wwód (ros.) – wprowadzenie w stan posiadania; w sukcesję – spadek.

*** Guberski – dotyczący guberni, wyższej jednostki administracyjnej w Rosji carskiej i podległych jej krajach.

**** Penaty – starożytnie bóstwa domowe; w przenośni mieszkanie, dom, ojczyzna.

Zmęczona była i wycieńczona okropnie. Sztuczne były rumieńce, które co chwila rzucały na jej mizerne policzki niby blask zdrowia i ustępowały wnet, zostawiając na skroniach krople potu, a w oczach mgłę zawrotu; sztuczne były siły, co ją utrzymywały tyle godzin schyloną u tego stolika; sztuczna była żywość, z którą pisała tak bez przerwy. Spieczone wargi powtarzały machinalnie kreślone wyrazy dokumentów, wszystkie swoje myśli utopiła w robocie i śpieszyła, śpieszyła.

Nagle drgnęła nerwowo. Dzwonek ją przestraszył; zbudził się Żuczek, który przeraźliwie ujadając, rzucił się w korytarz. Leonka wstała, by otworzyć drzwi.

– Dobry wieczór pani – ozwał się sympatyczny głos – i przepraszam. Czy zastałem Rafała?

– Wyszedł, ale prosił, by pan na niego zaczekał.

Zamknęła drzwi i wprowadziła gościa do saloniku. Był to także student, trochę starszy od medyka. Wielkie marzycielskie oczy, tak jasne jak bławatki, rozjaśniały jego poważne łagodne oblicze. Na jej wezwanie usiadł naprzeciw niej i trochę onieśmielony obracał w rękę czapkę.

– Zdaje mi się, że dzisiaj spotkał na ulicy ojca pana Feliksa – rzekł wreszcie.

– Był tutaj. Pan go zna?

Po twarzy studenta przeszedł ognisty rumieniec.

– Znam, pani. Mój ojciec służy u pana Rahozy; jest nadleśniczym – dodał po chwili.

Leonka poruszyła brwiami na jej tylko wiadome myślne spostrzeżenie.

– Pani jakby się dziwiła? – rzekł młody człowiek już śmielej.

– Nie. Tylko zestawiam panów. Pan cały człowiek, a Feliks słomiana lala.

– Pan Feliks urodził się w pałacu. Każdy szczyt dla niego bliższy i każdy ludzki ideał dostępniejszy. Dlatego mozolić się nie potrzebuje ani mordować się nauką. On ma kartę legitymacyjną od urodzenia daną tam, gdzie ja się wdzierać muszę, i kto wie, czy się wedrę. Na jego miejscu może bym i ja używał tylko.

– Wątpię, a przeciwnie, jestem pewna tego, że pan Feliks na każdym miejscu byłby pasożytem.

– Bardzo pani surowa.

– A pan stronny.

– Stronny? – zagadnął zdziwiony.

Spojrzeni sobie w oczy. Ona badawczo, on niespokojnie, i znowu poczerwieniał ogniście.

– Tak mi się zdawało – odparła przez zęby.

Zapanowała chwila milczenia.

– Przerwałem pani robotę – rzekł – a teraz się pani krępuje moją obecnością. Jeśli pani pozwoli pozostać, będziemy razem pracowali. Mam książkę z sobą, nie będę pani przeszkadzał.

– Dobrze – odparła szczerze, porywając śpiesznie pióro.

On rozłożył książkę i tak naprzeciw siebie siedzieli, milcząc.

Stary zegar wybił godzinę. Dźwięk miał chrypliwy i gniewny, jakby nie mógł darować ludziom, że go męczą w tak późnym wieku. Żuczek, znudzony bezsensownością, wynalazł gdzieś nieszczęsną pończochę pani Brzezowej i bardzo pilnie zaczął ją rozdierać na sztuki; lampka tłała, skwiercząc.

Leonka odłożyła ostatni arkusz i, bez przerwy i wytchnienia, dobyteła z tornistra pęk zeszytów, kilka starych podręczników i wzięła się do odrabiania jutrzejszych lekcji. Student oczy podniósł i przypatrywał się jej długi czas w milczeniu, badawczo.

– Czego się pani uczy w tej chwili? – zagadnął z cicha.

– Chemii organicznej – odparła prędko, nie podnosząc głowy.

- Zaraz pani skończy?
 - Zaraz.
 - Wszystko już?
 - Nie. Mam jeszcze historię i zadania.
 - Kiedyż to pani zrobi?
 - Noc długa, zrobię.
 - Przecież jutro niedziela. Można odpocząć.
 - Jutro mam korepetycji trzy godziny.
 - W niedzielę?
 - A tak. Na poniedziałek.
 - Dużo pani ma tych lekcji?
 - Co dzień trzy godziny.
 - Kiedyż pani to załatwia?
 - Po lekcjach w gimnazjum.
 - To pani od rana jest w robocie do szóstej wieczorem.
 - Do siódmej z drogą.
 - A gdzie pani obiada?
 - Podczas pauzy południowej. Obiad mam w tornistrze.
 - Ileż pani zarabia lekcjami?
 - Po dwadzieścia kopiejek za godzinę – sześćdziesiąt dziennie.
 - Osiemnaście rubli miesięcznie.
 - Mniej więcej. Kiedy nie ma wielkich świąt. Czasem tylko szesnaście.
 - A dawno już pani zarabia?
 - Już dwa lata. Od czwartej klasy.
 - To już sobie pani zebrała chyba posag! – Uśmiechnęła się smutno.
- Przestała się uczyć, oparła łokcie o stół, rękoma objęła gorejące czoło i uśmiechnęła się też uśmiechem czterdziestoletniej osoby.
- A wpisowe? A książki? – rzekła.

– Jak to? Pani sama płaci? A matka?

– Matce brak na moją naukę. Płaciła do czwartej klasy, potem nie mogła. Kazała przestać na tym. Ale ja także mam przed sobą cele, ideały, szczyty niebotyczne, na które dostać się pragnę, jak pan. Matka mi daje utrzymanie i dach, więcej mi nie trzeba.

– Ile pani ma lat, panno Leonio? – zagadnął z zajęciem.

– Szesnaście już – odparła z dumą.

Wyglądała na dwadzieścia, ale nie rzekł tego, tylko przez jego sympatyczne, otwarte rysy przeszedł cień serdecznego współczucia.

– To już dwa lata stoi pani własnych siłach?

– Od czwartej klasy – powtórzyła. – Teraz kończę szóstą; jeszcze rok.

Myśli jej nie rozumiały celu jego pytań, a nie chciała rozumieć. Odpowiadała trzeźwo, może krótko. Przestała się uczyć; podniecenie opadło, opanowywała ją jakaś chorobliwa abstrakcja, wynik nadmiernego wycieńczenia ciała i ducha. Przymknęła oczy; w zmęczonych źrenicach migały koła i zygzaki złote, zielone i pąsowe; w mózgu tłoczyły się cyfry, daty, formuły i gmatwanina zdań książkowych.

Cichy głos Lechnickiego zbudził ją jak ze snu.

– A czy była pani kiedy dzieckiem?

Rozwarła ciężkie powieki, nie rozumiała na razie.

– Dzieckiem? No, a jakże? Byłam!

– Gonila pani motyle, szukała gniazd, miała lalki, śpiewała, skakała przez sznur, tarzała się w trawie?

Potrząsnęła głową.

– Ej, nie! U nas w domu były licytacje ciągle i bieda, a potem choroba ojca i żaloba. Był ogród i motyle w nim zapewne, i gniazda, ale ja tym się nie bawiłam. Nie było czasu. Sama

byłam i czytałam. Pisarz prowentowy* czytać mnie nauczył, a więcej guwernantka, bardzo sroga. Tyle było roboty i tyle książek w szafie, to sobie czytałam na rekreacji.

– A matka?

– Matka już się wtedy procesowała. I ona nie miała czasu. Był ojciec chory i dziadunio ślepy, i proces, i gospodarstwo! A ile matka miała roboty! Potem i guwernantka odeszła; proces tyle kosztował! Mama mi kazała dziadunia dogłądać...

Przymknęła znowu oczy i opowiadała z cicha, jak przez sen, jakby sobie samej przypominała te czasy i nie miała słuchacza.

– Dziadunio nie lubił wychodzić. Miał swój pokój, a świat był dla niego wszędzie ciemny. Chore miał nogi, w ranach i kaszel okropny. Nauczyłam się rany mu opatrywać, gotowałam ziółka, i czytałam zawsze jedno: *Życie Napoleona*. Dokończywszy, zaczynaliśmy znowu od początku. Bardzo lubił słuchać, ale zawsze się spierał o zdanie autora. Potem tak przywykł do mnie, że na chwilę nie puszczał. Spałam też u niego w fotelu, bo i w nocy często usługi potrzebował. Biedny dziadunio!

Umilkła. Zdawało się słuchającemu, że się zająknęła niby łkaniem, ale moc w niej była jakaś nieludzka, bo po chwili mówiła dalej:

– Raz zimą wicher wyl i sowa jęczała. Dziadunio powiada: „To na mnie”. Kazał mi przestać czytać i położył się. Matki nie było, stawała na sądzie w powiecie; pusto było w domu, był tylko kucharz i ojciec, a ten leżał chory. Dziadunio się położył, dał mi swój krzyżyk srebrny na pamiątkę i pobłogosławił po łacinie. A potem kazał wziąć książkę do nabożeństwa i czytać różne modlitwy. Więc czytałam,

* Pisarz prowentowy – urzędnik prywatny (oficjalista), obliczający dochody majątku ziemskiego.

a dziadunio odpowiadał. Wieczór tak zeszedł i kilka nocnych godzin, aż świeczka dopaliła się i zgasła, i ja tam zasnęłam na skórze niedźwiedziej u dziaduniowego łóżka. I wtedy on umarł cichutko. Nie zbudził mnie; zapewne niczego nie potrzebował...

– A ileż lat wtedy pani miała?

– Dziesięć skończonych.

– A cóż potem było?

– Potem mi mama zleciła doglądać ojca, więc doglądałam. I wtedy już więcej miałam czasu, bo i szafy nasze z książkami zabrali z licytacji. Nic prawie w domu nie zostało, tylko pościel i nasze odzienie. Jak ojciec umarł, przeniosłyśmy się do oficyny, a w domu zamieszkali Zudrowie. Mama wtedy nauczyła mnie po rusku i przepisywałam jej różne papiery. Tak trwało kilka miesięcy, wreszcie i z oficyn trzeba się było wynosić. Tutaj przyjechałyśmy dla pilnowania procesu. Sześć lat za niedługo się skończy.

– I zawsze miałyście panie lokatorów?

– Zawsze. Czasem po czterech nawet.

– Rafał już dawno mieszka?

– Od trzech lat. Pan Rahoza od roku. Przedtem inni byli, różni.

– To Rafał stary znajomy. Lubi go pani?

– On dla mnie taki wielki, taki mądry! O, i dobry! On nie drwi, nie przedrzeźnia, nie konceptuje*. O, on cały człowiek!

– Demon! – szepnął poważnie Lachnicki.

Dziewczynka nie zauważyła przerwy.

– Żeby nie on, tobym zmarniała. Gdy mi matka cofnęła wpisowe przed dwoma laty, jak dziecko byłam. Płakać tylko umiałam i rozpaczać. A on mnie nauczył wielu rzeczy,

* Konceptować – żartować, dowcipkować.

wszystkiego. Teraz już bym nie potrafiła płakać. Nauczył mnie myśleć, dał mi odrobinę swej mocy. Przez niego jestem tym, kim jestem, i będę, kim zostanę. On mój mistrz!

– Feliksa pani nie lubi. Dokucza drwinami.

Ruszyła wzgardliwie ramionami.

– Co mi on? To nie człowiek. Egzaminu nie zdał i śmieje się. Żebym ja egzaminu nie zdała... – Urwała i oczy jej błysły dziko.

– To co?

– Tobym nie żyła! Ale ja co rok zdaję z nagrodą pierwszą. I pan Rafał pierwszy. Pan Feliks ambicji nie ma ani woli. Czy to człowiek?

– Ale wesół i pocziwy.

– Wesół i wróbel, i Żuczek, i wszystko, co nie myśli. Czy zasługa i cnota? Mnie to nie bawi, nie mam czasu. U pana Feliksa nic nie ma świętego ani szanownego.

– No i Rafał w niewiele świętości wierzy i mało co szanuje.

– Pan Rafał ma świętość szlachetności, ma poszanowanie wielkości ducha i nauki. Miałby prawo patrzeć z góry na świat i ludzi, z wyżyn swej wiedzy i siły; on mędrzec i uczony, a pan Feliks dziecko.

– A dokądże panią Rafał zaprowadził?

– Do tych źródeł, z których się pan Feliks nigdy nie napije, do takich celów, których on nie rozumie, choć śmie żartować z pana Rafała. On!

– Byle z Bogiem, życzę pani powodzenia. Wieczne życie dają zdroje gorącej wiary i poświęcenia, a orle siedliska na podniebnych szczytach ma myśl wielka i wiedza. Ale całe niebo ma ten dopiero, kto wielce kocha, a źródła cudowne ma ten tylko, kto cierpi i dziękuje. I takich wiele na świecie... Zna ich pani?

Podniosła na niego oczy czarne, zmęczone, a tak czyste i głębokie, że w nich jak w krynicy widać było do dna myśl i duszę.

– Miłość, jak każda namiętność, jest słabością, a cierpienie, znoszone z podzięką – niewolnictwem! – odparła po namyśle.

Oczy jej czyste świadczyły, że wypowiada frazes nauczony, że decydowała o kwestii, o której nie miała żadnego własnego pojęcia. Błękitne oczy studenta sypnęły iskrami. Podniósł dumne czoło.

– To fałsz, panno Leonio. Czy to przez słabość i żądzę pielęgnowała pani dziadunia? Czy to przez słabość i żądzę zdławiły panią łzy na te wspomnienia? Nad miłość nic nie ma duchowniejszego i gwiazdy przy niej nieczyste, a nad podziękę w cierpieniu nie ma większej potęgi i mocy. Nie człowiek i nie mędrzec, kto tego nie doznał i nie pojął.

Dziewczynka słuchała go uważnie, zamyśliła się.

– Ja nie wiem – odparła wreszcie – tak czytałam.

– Więc Rafał nie uczył tego pani?

– Nie. Nigdyśmy o tym nie mówili. Czytałam.

– To i chwala Bogu. Znam Rafała; nie mistrz on do tego, o nie! Nieszczęsny ten, komu on będzie kształcił uczucie.

– Dlaczego, panie? – spytała spokojnie.

– Bo i on tylko czytał o tym, jak pani, i nie wiem, czy kiedykolwiek odczuje.

Leonka nagle podniosła głowę, nastawiła ucha.

– Pan Rafał idzie! – rzekła.

Student spojrział na zegar i wstał zaniepokojony.

– Już dziesiąta? Niepodobna! – zawołał. – Sądziłem, że przed chwilą przyszedłem. Zająłem pani tyle czasu i wbrew obietnicy przeszkodziłem w robocie. Proszę darować.

– Nic nie znaczy. Noc długa. Zawsze pracuję do późna. I ja się nie spostrzegłam, żeśmy rozmawiali. Otóż i pan Rafał!

Klucz zazgrzytał w zamku. Lachnicki się uklonił.

– Chciałbym po wakacjach zapisać się na listę lokatorów państwa i przegwarzyć z panią wiele takich wieczorów. Dziękuję za łaskawe towarzystwo.

– Czy jest Adam? – rozległ się głos Rafała z sieni.

– Jestem. Czekam od dawna.

Rafał wszedł do saloniku. Czoło miał posępne, a w oczach przykry blask. Kiwnął głową Leonce i Lachnickiemu i przeszedł się kilka razy wzdłuż i wszerz po pokoju, nie mówiąc ani słowa.

– Nie ma naturalnie nikogo – rzekł w końcu – tylko pan-na Leonia. Dobrze, żeś został, mam z tobą do pomówienia. Zapewne ojciec z synem Rahozowie nie pokażą się dzisiaj. Mocno pocieszające „zapewne”! Możemy zostać. Chodź do mego pokoju.

– I owszem, bo i ja mam interes do ciebie, a raczej prośbę. Dobranoc pani.

Wyszli. W stancji swojej Rafał zaczął znowu chodzić z końca w koniec i mówił swym lekceważącym tonem:

– Wezwałem ciebie, żebyś sobie zabrał, jeśli na co ci się zdadzą, moje książki medyczne, notatki i narzędzia. Mogę ci też i to darować.

Przystanął u stolika i uderzył pogardliwie ręką po czaszce ludzkiej białej i lśniącej, która wśród gratów przeróżnych leżała w pyle, szczerząc dwa rzędy przepysznych zębów w szyderskim uśmiechu.

– Kiedy obiekt kipnął, pamiętasz? był to wielki wynalazca, samouk, nędzarz, rozbijałem się za tym czerepem, a dostawszy go, mierzyłem, ważyłem, badałem. Idiotyczna nauka i idioci jej adepci! Tyle w tej głowie sensu, co w rozbitym garnku. Wyrzuć nerwy, mózg, krwiste przewody, zostanie ci figa! Na nawóz cała facecja, i basta! Zmarnowałem trzy lata! Nie dziwię się, że mój ojciec dał szcztuka medycynie, tylko

że zrobił to za późno. Ja już mam jego doświadczenie oprócz rozumu i zrobię to wcześniej.

– Jak to? Z trzeciego kursu? Z twymi zdolnościami rzucaasz? Rafale, co tobie? Świątną przyszłość masz przed sobą i u wrót triumfu ustajesz?

– Nie ustaję, ale zostawiam pole. Budujcie tę świątną przyszłość, oszukując osłów i siebie! Ja już opłaciłem frycówkę. Teraz bywajcie zdrowi!

– Cóż myślisz robić dalej? – pytał Lachnicki oszołomiony.

– Przede wszystkim rzucić to obrzydłe gniazdo, póki mnie jeszcze do reszty nie ogłupiło! Ładna tu młodzież, przyjemne nauki, inteligentne towarzystwo, nie ma co mówić! Można skorzystać!

– Czego chcesz od naszej kolonii? Nie brak otwartych głów, śmiałych myśli i poglądów, wybitnych umysłów. Nie hulamy, nie żyjemy z długów, pracujemy!

– Winszuję, jeśli ci to wystarcza! Otwarte głowy chcą świat reformować, a nie potrafią odpowiedzieć, czym są, czym byli i czym będą – stado narwańców! Wybitne umysły zgrywają się w karty, a pracownicy, do których i ty się rachujesz, to gromada wołów orzących niewolniczą rolę obowiązków pod batogiem rodziny, kraju, walki o byt, religii, obyczajów i tym podobnych zabytków barbarii! Miła kolonia!

– Do wybitnych zaś umysłów ty się rachujesz i też jesteś zapalonym graczem.

– Naturalnie! Dziwię się, że wśród tej miłej kolonii nie zostałem dotąd rozbójnikiem, szpiegiem lub mordercą! Przykład jest zaraźliwy, a brak stosownego koleżeństwa popycha do upadku! Przybyłem, szukając wiedzy i swobody; odjadę bez jednego i drugiego!

– Więc rzeczywiście wyjeżdżasz? Stanowczy projekt?

– Moje projekty są dziełem rozważki, więc stanowcze. Wyjeżdżam jutro, na zawsze!

– Jutro już? Dokąd?

– Do Monachium. Do stolicy ojca. Jego dzieło będę dalej ciągnął, od miejsca, gdzie przestał. W tamtejszym uniwersytecie moje stanowisko.

– Więc się rozłączymy na wieczne niezobaczenie? Szkoda!

– Jaka szkoda! Pasujemy do siebie jak polip do ptaka; nie rozumiemy się nigdy. Nie wiem doprawdy, o czym mogliśmy rozmawiać przez ten rok i dlaczego zwłaszcza poznajomiliśmy się bliżej? To także jedno więcej zmarnowanie czasu! Zapewne, że się nie spotkamy, bo i po co? I dowcipnego pana Feliksa nie ujrzą więcej moje oczy! Nie będzie swego blasku nade mną roztaczał! To także szkoda!

Lachnicki usiadł przy stoliku, podparł czoło ręką i słuchał bez śladu obrazu. Tylko twarz jego łagodna posmutniała bardzo, a oczy zaszyły wielkim żalem. Rafał nie patrzył na niego. Chodził wciąż po pokoju, istotnie demoniczny w swym cynizmie i pogardzie.

– Poznałem dzisiaj rodzica tego obiecującego młodzieńca i dowiedziałem się, że staruszek niegdyś kochał się w mojej matce! Jakie to czułe! Aż mu nos zbiegał na to wspomnienie! Nieborak, w braku matki, syna wyściskał i o wzajemność prosił. Stara Brzezowa aż się oblizywała na widok tej sceny. Bo i o koligacji była tam mowa, i o amorach, i o przyjaźni, i o dobrych synowskich stosunkach... Czemu nie palisz? Żujesz i ty orację w tym rodzaju. Nie fatyguj się; masz cygaro!

– Dziękuję ci. Smutno mi okropnie, że się rozstajemy.

– A tak. Tobie zawsze jeśli nie smutno, to tęskno, kiedy się nie troskasz, to marzysz; kiedy nie marzysz, to coś sobie wyrzucasz i żałujesz! Osobliwy sortyment ślimakowych uczuć, ale niestety nie znany mi, więc współczuć z tobą nie

potrafię. Nie mam pojęcia, co to smutek i tęsknota, marzenie i troska, wyrzuty i żal. Wyobrażam sobie, że podobne do ciebie osobniki ładują sobie te wrażenia w miejsce brakującej im piątej klepki, jak się to *vulgo** mówi.

– Nie przeczę ani się obrażam, kolego – odparł Lachnicki swym poważnym, łagodnym głosem. – Pokochałem cię może właśnie dlatego, żeś polip, a ty ptak. Marzyłem, że się porozumiemy kiedyś, żalowałem ciebie, boś nie-szczęśliwy, i szkoda mi bardzo a bardzo, że drogi nasze się rozchodzą! Widzisz więc, że ową brakującą klepkę zastąpiłem tobą. Gdy aniołowie w przepaść szli za pychę, z nimiś był, demon...

– Wiem, wiem. Czytałem między innymi i te żydowskie bajeczki. Słusznie im miejsce między *Dekameronem* i Szacherezady baśniami. Nie ciekawym twych kazań; powiedz raczej, bierzesz książki i resztę?

– Dziękuję ci, owszem, ale pod warunkiem, że coś za to ode mnie przyjmiesz w zamian.

– Co takiego?

– Obiecay wpierw, nim powiem.

– Zapewne coś głupiego, sądząc po tym wstępie.

– Może być. Przez rok słuchałem ciebie cierpliwie, choć płwałeś na wszystko, co czczę i szanuję. Dziś się rozstajemy. Jako wynagrodzenie zrób mi jedną, pierwszą i ostatnią przyjemność i zadowolenie.

Rafał przestał chodzić. Spojrzał przelotnie na kolegę. Czy jego gorące i dzikie złagodniały na sekundę, choć ton odpowiedzi pozostał szorstki i zimny.

– Frazes w twoim guście. Świeć ślepemu pochodnią w oczy, powie, że go kaleczysz. Logika wasza! Zresztą zgoda,

* zwykle, pospolicie (łac.)

byłe w tej twojej przyjemności nie było Feliksa i pozostania tutaj. Czego chcesz?

– Żebyś przyjął gościnę w domu mego ojca na czas wakacji. Obiecałeś. Dziękuję ci serdecznie. – Chłopak wstał i wyciągnął dłoń do uścisku.

Rafał ruszył ramionami.

– Szczególna ochota. Jeśli myślisz mnie nawrócić, próżna fatyga, a co do ciebie, dawno dałem za wygraną szukania w twojej mózgowicy rozumu i logiki. Nie będziemy więc mieli o czym rozmawiać.

– Zgoda, nie nawracajmy się. Nie z moją siłą ciebie pokonać. Bóg cię sam kiedyś nawróci, bo ulituje się nad taką duszą, piekła nie da; a ty nie bluźnij przede mną, bo mnie to zanadto boli. Pojedziemy sobie, jak studenci, do naszej chaty leśniczkiej wśród boru. Tobie tam zdrowo będzie i spokojnie, a ja odwlekę choć na parę miesięcy nasze rozstanie. Tak to nagle mnie zaskoczyło! Daj mi przywyknąć do smutnej myśli. Niechże ci podziękuję.

Rafał obojętnie podał dłoń i uściśnił sobie prawicę.

– Wszystko mi jedno, gdzie będę – mówił Radwan dalej. – Miałem zamiar piechotą wędrować do Monachium, z popasami, przez Rygę. Mniejsza o to, mogę u ciebie przesiedzieć kilka tygodni. Do profesora Andenberga w Monachium pisałem; wzywa mnie do ojcowskiego mieszkania, które zachowano nieznieniane. Został na to kapitał, a Andenberg, przyjaciel i kolega ojca, pilnuje całości. Znajdę wszystko na swój przyjazd gotowe. Jestem wolny na tych parę miesięcy.

– Pojedziemy jutro. Dzisiaj zdałem ostatni egzamin! – zawołał radośnie Lachnicki.

– Kiedy ci się podoba. I ja zdałem. Nic nas nie zatrzymuje. Możemy załadować graty w dorożkę i jechać na tę noc do ciebie. Oszczędzi mi to widoku Feliksa.

Lachnicki zafrasował się nagle i wahająco spojrzął na kolegę.

– Feliksa – powtórzył powoli. – Nie powiedziałem ci całej prawdy, Rafale. Nie zaręczę, że się nie spotkacie podczas wakacji. Mój ojciec służy u nich.

– Służy u Rahożów? Ładna perspektywa!

– Jest nadleśniczym. Straż jego leży jednak daleko od samego dominium^{*}, a pan Feliks nie myśliwy. Widuję go bardzo rzadko, gdyż przez wakacje bawi się po sąsiednich dworach. Nie lubi lasu i ciszy i w niczym się nie rozporządza. Stary Rahoza magnat jest, ma siedem folwarków, gorzelnie, młyny i lasy olbrzymie. Ojciec mój służy im od lat dwudziestu; straż i obowiązek wziął po dziadku. Nie za najemników nas uważają, ale za przyjaciół. Przekonasz się, że ich nie zobaczysz nawet, gdy nie zechcesz.

– O, to pewna, że nie zechcę! Któż tam jest? Stary, stara i jedynak Feliks?

– Jest pan Rahoza, matka jego żony nieboszczki, syn i córka.

– Aha, jest i panna. A ona się nie włóczy po lesie?

– Owszem, ale ta ci nie dokuczy. Jest też i emeryt guwerner, Niemiec, który codziennie przez straż przechodzi i w lesie czytuje Kanta. Spokojny człowiek. Będzie nam dobrze, Rafale. Dwór o wiorst kilka, za rzeką. Las przepyszny, cisza, spokój. Nie bój się, jedźmy.

– Jeszczem ja takich Feliksów się nie bał. Nie spodoba mi się, to pójdę precz. Obiecałem i basta. Oho, wraca miła Brzezowa!

Rzeczywiście, w korytarzu pisk gospodyni rozlegał się donośnie przez wtórze skomlenia Żuczka.

* Dominium – większa posiadłość.

– Biedny rozbitek – rzekł Lachnicki. – Patrząc na nią, żal ogarnia okropny! Za co ona biedna tak cierpi i mozoli się? Niezbadana boża tajemnica! Po wakacjach najmę u niej mieszkanie i, ile będę mógł, pomogę. Dzisiaj dużo rozmawiałem z córką. Wybitny to charakter i bogaty materiał. Znacie się dobrze?

– Tę małą? Zajęła mnie i badałem. Żeby nie była kobietą, może by z niej co było, ale kobieta – nęcza!

Machnął lekceważąco ręką.

– Cóż to ma znaczyć? Mogą być niepospolite kobiety, jak niepospolici mężczyźni. Przecie im się nie zaprzecza duszy i rozumu.

– Po pierwsze: dusza jest to określenie także z bajek Szacherezady, a co do rozumu kobiet, najrozumniejsza ma go trochę więcej od kury.

– A panna Leonia?

– Panna Leonia jest jeszcze dzieckiem. U kobiet okres myślenia kończy się z epoką rozwinięcia; potem jest to tylko rzecz i basta!


– Mówisz jak ślepy o kolorach. Twoje kobiety są właśnie istotami z bajek Szacherezady. Szczęściem, że teraz takich nie ma, a inne są nie równe nam, ale wyższe od nas.

– Chytrzejsze i sprytniejsze! To przymiot płci żeńskiej w całej przyrodzie. Wynik logiczny potrzeb.

– Dosyć; nie ciekawym tych fizjologicznych obserwacji. Rozchodzimy się w zasadzie bez możliwości porozumienia. Kiedyś przekonasz się sam i jak ja uwierzysz.


– Czy prorokujesz mi ogłupienie? Mocno obowiązany! Wracają się wstecz tylko półgłówki, a do ich liczby ja się nie piszę. Tymczasem jeść mi się chce okropnie; pójdziemy do restauracji. Zachowaj się tylko cicho, bo jak nas Brzezowa posłysz, podniesie lament. Zabierz książki.

W skrzynkę drewnianą wrzucili podręczniki, narzędzia i nieszczęsną czaszkę. Potem wymknęli się cichutko na schody. W pokoiku studenckim pozostał gryzący dym cygar Rafała, unoszący się w fantastycznych tumanach przy świetle lampy, i echo jego sarkazmów. Równie dymno i mglisto było w dzikiej głowie studenta. Za mędrca się miał szalenieć.

Polub nas
na Facebooku 

KUP TERAZ

 swiatksiazki.pl



Rafał Radwan, elegancki i przystojny student medycyny, bywa bardzo sceptyczny, wręcz cyniczny wobec otaczającego go świata. Uczennica gimnazjum, Leonka, dla której jest wzorem do naśladowania, zupełnie nie budzi jego zainteresowania. Radwan rzuca studia i wyrusza w podróż po świecie. Po latach wojaży wraca do Polski, gdzie spotyka Leonkę – teraz już piękną, młodą kobietę i lekarzkę, którą za wszelką cenę próbuje zdobyć...

Nr 21000075

ISBN 978-83-8074-454-7



9 788380 744547

bukowylas.pl

Połącz nas na Facebooku



Cena 49,90 zł
(w tym VAT)